

Robi Santone

SZEPTY.
CIENI



Projekt okładki

Robi Santone

Korekta

Iwona Stachowicz

Konwersja do formatów Epub i Mobbi

Tomasz Fiałkowski

© Copyright by Robi Santone

ISBN 978-83-954311-0-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.



Kontakt:

www.rozpisani.pl

info@rozpisani.pl

Demo

* * *

Dochodziła siódma wieczorem, kiedy czarny chevy suburban zatrzymał się przed niewielką galerią na Grant Avenue przy znanym w Nowym Meksyku Muzeum O'Keefe'a. Klaudia Stewart ostatnio dość rzadko odwiedzała to miejsce. Regularnie odbywały się w niej spotkania lokalnej bohemy, wspomagającej twórczość dobrze zapowiadających się artystów południa Ameryki. Peter Howard poczekał przez moment po zatrzymaniu się samochodu. Pancerne drzwi otworzyły się samoczynnie i zrobiły mu przestrzeń do wyjścia. Przeszedł kilka kroków i znalazł się przed wejściem do jednopiętrowego budynku wzniesionego w charakterystycznym dla Nowego Meksyku stylu architektury „cegły suszonej na słońcu”. Wykwintnie dobrane różowo-pomarańczowe kolory ścian zewnętrznych przetasowywały swoje odcienie wraz ze zmieniającą się porą dnia. Padające pod zmiennym kątem promienie słoneczne nadawały całemu budynkowi dodatkowe akcenty historycznego stylu plemion Pueblo z mocno odczuwalnym natężeniem ciepła.

Jednak słońce nieuchronnie zbliżało się ku zachodowi, zaznaczając wyraźnie dominujący przed drzwiami rozległy cień. Dzień powoli dobiegał końca. Chwila ta

zawsze nadaje światłu wyjątkową głębię. Często nazywana złotą godziną charakteryzuje się nie tylko specyficzną kolorystyką promieni przebijających się przez atmosferę. Jest w tym niewielkim wycinku czasu delikatny, melancholijny nastrój zachęcający do schowania się w ciemności, która właśnie przybyła. Zbliżający się wieczór to brama do przejścia dnia w noc. Czasami świt jednak nigdy nie nadchodzi. Dzieje się tak, gdy następuje zmiana życia w śmierć...

Dyrektor CIA jakby to wszystko poczuł... Stał przed wejściem i zawahał się, czy nacisnąć dzwonek. Odwykł już od tego typu zachowań. Od czasu, gdy wszedł do establishmentu i przyjeżdżał na miejsce, zawsze ktoś czekał i... otwierał drzwi. Nie lubił życia, kiedy wiele rzeczy wykonywano za niego. Tracił czujność i miał wrażenie, że z biegiem lat jego instynkt samozachowawczy zanika. Gdy tydzień temu poskarżył się żonie, że doskwiera mu brak prywatności i luksusu robienia rzeczy prostych, zaczęła się śmiać. Nie przejmuj się. To minie – powiedziała. Gdy zapytał kiedy, popatrzyła na niego z litością i z dziecinną szczerością dodała: Jak przestaniesz być szychą... Wtedy, kiedy wsiądziesz do samochodu, a on nie pojedzie...

* * *

Przeszywający całe ciało ból nawet na moment nie pozwalał odpocząć mężczyźnie. Jedynym jego marzeniem

była utrata świadomości. Chciał znaleźć się w innym, lepszym miejscu. Tam, gdzie – chociaż przez chwilę – mógłby pozbyć się fizycznego zniewolenia. Doświadczał go już od kilku godzin i nie wiedział, dlaczego... Czekał na kolejny cios w zakrwawioną twarz. Nagle jednak doznał zaskoczenia. Opaska założona wcześniej na oczy została delikatnie zsunięta. Niewiele to dało, gdyż w pomieszczeniu panowała ciemność. Z jedną tylko różnicą – dwa metry przed sobą zauważył dwie, ogromne białe gałki oczne, które nieruchome wpatrywały się w niego. Poza tym nie dostrzegł niczego innego. Doszedł do wniosku, że zwariował. Przecież gałki oczne nie mogły go od kilku godzin nieustannie walić po twarzy.

– Co się dzieje? Gdzie jestem? – wybełkotał ledwo słyszalnym głosem przez zakrwawione usta.

– A jak myślisz?... W wielkiej, czarnej dupie – odpowiedział spokojnie nieznany głos.

– Pieprzyć to! – starał się wysilić na wydobyć jakiegokolwiek energii.

– Zobaczmy... Nie interesuje mnie twoja coraz gorzej wyglądająca morda. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego zginął Costa. Panie Reza Hakakian, szanujemy wolność prasy i swobodę pracy dziennikarzy. Nie zamierzamy robić im krzywdy – mówił właściciel dwóch wielkich białych gałek ocznych. Okazało się jednak, że mają one towarzystwo – niżej wyłoniły się okazałe jasne zęby. Można było wywnioskować, że zadający pytanie właśnie się uśmiechnął.

– Pieprzyć to... – powtórzył więziony mężczyzna. Nie mógł wykonać żadnego ruchu, gdyż miał skrepowane z tyłu ręce. Prawdopodobnie był przywiązany do jakiegoś metalowego drążka. Nie miał jednak pewności, gdyż nic nie widział.

– Chłopie, powtarzasz się z tym pieprzeniem.

– Tak? Nadrabiam zaległości!

Ofiara czekała na kolejny cios, który nie nastąpił. Okazało się, że ktoś inny był specjalistą od zadawania bólu. Właściciel dużych białych gałek ocznych tylko stawiał kolejne pytania.

– Dostyc tego pieprzenia, panie Irańczyk! Wiem, że jesteś oficerem MOIS i miałeś regularne kontakty z Costą. Jeśli nie będziesz gadał, to wyjdę i już więcej nie wrócę! Ponownie spotkasz swojego znajomego. Jak skończy z tobą, to urwie ci głowę i nasika do szyi. Tyle z ciebie zostanie!

Nastąpiła chwila ciszy. Reza Hakakian zrozumiał, że dostał czas na podjęcie decyzji. Nie było jednak nad czym zbyt długo się zastanawiać. Jakby w pustą, ciemną przestrzeń niewyraźnie wybełkotał:

– Góra chciała, aby zniknął...

– Powtórz powoli i wyraźnie!

Przywiązany mężczyzna z dużym wysiłkiem nabrał kilka oddechów i wyrzucił z siebie:

– Rozkaz przyszedł od kierownictwa służby, aby wykończyć Costę.

Po tych słowach dwie wielkie białe gałki oczne zniknęły. Irańczyk usłyszał odgłos oddalających się kroków. Drzwi otworzyły się ponownie i ogromna postać opuściła pomieszczenie. Nie musiał długo czekać, ktoś wszedł do środka. Poczul tępe uderzenie w tył głowy. W końcu znalazł się w miejscu, o którym marzył od kilku godzin. Tam, gdzie nie czuł już nic. Stracił świadomość...

Sebastian Low wiele widział w czasie swojej ponaddwudziestoletniej kariery w Secret Service. Nie zadawał pytań o powody nietypowych zachowań przedstawicieli amerykańskiego establishmentu, dla których pracował. Wielokrotnie dziękował Bogu, że ludzie nie widzą... Nie mieli pojęcia, co robią „wybrańcy narodu” za kulisami, za kurtyną swojego życia publicznego i z daleka od kochających ich rodzin. Wtedy wszystko z nich wyłaziło. Wypełzało na wierzch całe to „coś”, co mieli w środku. Wyeksponowane, jakby chcieli się tym pochwalić. Czymś, czego nie mogą pokazać na co dzień. Drugą odsłoną swoich osobowości, karmioną rozdymanym ego i potrzebą zaspokojenia nienasyconego pożądania. Tkwiło ono w nich głęboko i wychodziło, kiedy nadarzyła się okazja jego spełnienia. Potem wracali do rzeczywistości i pozornej czystości idealnego życia. Dawania przykładu obywatelom, jak być kimś. Kogo warto naśladować i wskazywać jako wzór dla swoich dzieci ...

On nigdy nie pytał, nawet samego siebie. Wiedział, że pokrętnie tłumaczenia „przedstawicieli elit” – lub też ich brak – mogą wzbudzić ich niepotrzebną podejrzliwość. A

z jego strony – nieodparty wstręt... Potem był tylko krok do generowania wątpliwości. Pytań o jego kompetencje zawodowe. Stąd żelazna zasada – nigdy nie pytaj swojego szefa: dlaczego?

Podobnie było w tej sytuacji. Nie zapytał, skąd George Stewart wiedział, gdzie i kiedy będzie przebywał oficer irańskiego wywiadu. Dostał polecenie, aby wycisnąć z Rezy Hakakiana wszystko, co wie na temat zabójstwa Fernanda Costy. Nie dociekał, po co Teksasńczykowi takie informacje. Jego profesjonalizm wykorzenił z niego ostatnie pokłady ludzkiego zainteresowania. Nawet nie był już ciekawy... Liczyło się zrealizowanie zadania. Miał wrażenie, że osiągnął ten cel, chociaż nastąpiły pewne komplikacje. I skutki uboczne...

Kiedy wszedł do gabinetu szefa Roxona, ponownie spojrzał na znajdujący się na jego biurku napis: Nie zadzieraj z Teksasem. Czytał go za każdym razem, gdy odwiedzał gospodarza. Ten wstał z fotela i podszedł przywitać się, silnie ściskając mu rękę. Uśmiechnęli się do siebie, jak to mieli w zwyczaju. George Stewart lubił swojego głównego specjalistę od spraw trudnych i darzył go zaufaniem. On z kolei szanował Teksasńczyka, który miał podstawową zaletę: ciągle był taki sam...

- Kiedy wróciłeś?
- Wczoraj !
- I co?
- W kwestiach informacyjnych chyba nieźle.

– A w innych?

– Sprawy się pokomplikowały. Delikwent był mało odporny na wymianę poglądów – odpowiedział, uśmiechając się gorzko. Sebastan Low nie miał jednak wyrzutów sumienia, że coś poszło nie tak, jak planował. Normalna sprawa. Skutki uboczne...

George Stewart wstał od biurka i podszedł do ruchomego barku umieszczonego niespełna dwa metry od niego. Stelaż, wykonany z byczych rogów, był łatwy do przesunięcia. Popatrzył na znajdujące się na wyższej półce butelki trunków i spytał swojego gościa:

– Napijesz się?

– Tak...

Mężczyzna nalał do dwóch szklanek teksańską whisky Balcones i jedną z nich podał Sebastianowi Lowowi. Oczekiwał odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie. Murzyn flegmatycznie przechylił połowę zawartości szklanki i rzucił okiem na to, co w niej pozostało. Po chwili poczuł wypełniający jego krtani smak słodkawego alkoholu zrobionego z niebieskiej kukurydzy. Zaspokojony rzekł:

– Zaczynając od końca. Irańczyk zmarł. Chyba jakiś krwotok wewnętrzny. Zbyt mocno został poturbowany.

George Stewart się skrzywił. Nie chciał śmierci oficera irańskiego wywiadu. Było to zupełnie niepotrzebne, tym bardziej że ktoś zrobił mu przysługę i przekazał

informację o miejscu jego pobytu. Zastanowił się, lecz uznał, że nie będzie robił z tego wielkiego problemu.

- Udało się coś wyciągnąć?
- Tak! Inaczej nie dalibyśmy mu umrzeć...

* * *

Edgar Oz uzyskał informację, którą zamierzał właśnie zakomunikować przyjacielowi. Nie była zbyt optymistyczna, ale cóż... Generał wyznawał zasadę, że życie to ciąg nieustannych wyborów pomiędzy spokojem głowy a spokojem sumienia. W swoim postępowaniu preferował to drugie, dlatego po przechyleniu kolejnego kieliszka bogatego bukietu Blandy's Terrantez, rocznik siedemdziesiąty szósty, bez zbędnych emocji stwierdził:

- Pytałeś o tego Portugalczyka, Costę. Chłop nie żyje.

Amerykanin zmarszczył czoło. Popatrzył na swojego rozmówcę ze zdziwieniem i spytał:

- Nie rozumiem. Jak to nie żyje?

– Zabity. Ktoś mu strzelił w łeb, kiedy jechał do pracy. Zdarza się...

Po czym uśmiechnął się lekko i wyjaśniając, dodał:

– Ha, ha! Spokojnie, to nie my! Nie mamy z tym nic wspólnego. W każdym razie... ja nic o tym nie wiem.

– A wiedziałbyś? – rzucił bez zastanowienia George Stewart.

– Niekoniecznie. Zrobiłem rozeznanie w swoich służbach. Przyznali, że został zamordowany w Lizbonie. Zastrzelony przez jakąś kobietę na motorze. Co to się porobiło, żeby babki stały się takie agresywne... Ha, ha!... Wygląda to jednak na zabójstwo na zlecenie.

– Hmm... A skąd takie przypuszczenie?

– George, nie sądzisz chyba, że kobieta była tak zdesperowana, aby zastrzelić dyrektora Muzeum Gulbenkiana tylko dlatego, że zdecydował się na zorganizowanie wystawy z jej obrazami au naturel... Oczywiście, że ktoś zapłacił jej za pozbycie się Costy. I to pewno nie mało. Ten ktoś wiedział, co robi!

– To znaczy?

– Wygląda na to, że facet pracował dla służb z Teheranu. Nie mam pojęcia, czy mu płacili, ale nasi twierdzą, że często prowadzał się z przedstawicielem irańskich mediów w Lizbonie. Wiemy, że to kadrowy oficer MOIS. Znamy go jeszcze z jego aktywności w Paryżu. Zdolny gość, profesjonalista.

– Myślisz, że to on kazał go wykończyć?

– Być może... Miał dobre alibi, gdyż w czasie morderstwa czekał na Portugalczyka w jego gabinecie w Muzeum Gulbenkiana. Kilka dni po tym zniknął z Lizbony i ponownie pojawił się w Paryżu. Tam podczepił się pod aktywność organizacji irańskiej diaspory. Nie pamiętam jej nazwy... Zresztą, to nie jest tutaj istotne.

– No dobrze, co o tym sądzisz? Dlaczego pozbyto się Costy?

Generał podrapał się po łysinie, jakby chciał pobudzić do większej aktywności swoje szare komórki.

– Widzisz, George, to wszystko zależy, kto go załatwił. Być może stały za tym zwykłe porachunki natury kryminalnej. Hazard, nielegalny handel dziełami sztuki czy też długi. Może wściekła żona – starał się zażartować.

Jednak widząc minę swojego rozmówcy, poważnie kontynuował:

– Jeśli zrobiły to służby irańskie lub innego kraju, to sprawa jest raczej prosta.

– Dlaczego?

– Gościa wyeliminowali, bo po pierwsze – przestał być potrzebny, a po drugie – stał się ciężarem. Jak to mówią w służbach: wiedział zbyt wiele. A wiedza ta nie była mu już do niczego potrzebna. Stąd urwali mu łeb. Na Bliskim Wschodzie często tak finalizuje się sprawy.

Amerykanin nie do końca był usatysfakcjonowany wyjaśnieniami, jakie właśnie usłyszał. Z lekkim niedowierzaniem powiedział:

– Zbyt wiele tutaj zbiegów okoliczności. Zabijają dyrektora najważniejszego muzeum sztuki w Portugalii w sytuacji, kiedy zaczyna szantażować moją córkę...

– Tak! Masz rację, dziwna sprawa. Wygląda na to, że ona sama miała motyw – odpowiedział poważnie.

– Co przez to rozumiesz?! – zapytał donośnym głosem Amerykanin, patrząc swojemu towarzyszowi wnikliwie w oczy.

– Uważam, że powinieneś poważnie z nią porozmawiać. Mam wrażenie, że nie mówi ci wszystkiego.

– Brednie! Jak to sobie wyobrażasz? Klaudia zleca zabójstwo? Znam swoją córkę i wiem, że to niemożliwe!

Izraelczyk nie odpowiedział. Nie chciał polemizować z George'em Stewartem, przecież najlepiej znał swoją córkę. Przynajmniej takie miał przekonanie. Rodzice doskonale znają swoje dzieci, dopóki nie wydarzy się coś nieoczekiwanego. I wtedy przyznają ze smutkiem, że tylko tak im się wydawało – zastanawiał się przez chwilę generał.

Amerykanin wstał od stolika i przeszedł kilka kroków, aby popatrzeć na panoramę oświetlonego Funchal. Nie zamierzał kontynuować tematu zabójstwa Fernanda Costy, aby nie psuć atmosfery. Czekala ich ważniejsza kwestia do omówienia.

– Masz rację, porozmawiam z Klaudią. Może znała Portugalczyka po linii zawodowej.

Łysy mężczyzna ponownie spojrzał na Teksańczyka i spokojnie raz jeszcze potwierdził:

– George, wszystko, co wiem na ten temat, przekazałem. Nie chcę grzebać dalej, bo czuję, że ten cały Costa to głębokie szambo. Włóżysz rękę i nie wiadomo, co możesz jeszcze wyciągnąć.

– Tak, zdecydowanie. Jednak chyba dość długo w tym szambie już siedzimy. Wiesz, co się wtedy dzieje z człowiekiem? – spytał szyderczym tonem.

– Hmm... Mów!

– Nie czujesz już smrodu, mój przyjacielu...

* * *

Kiedy przed godziną siódmą wieczorem dotarła wraz z Ronaldem Solskim na miejsce, powitał ich kurator wystawy dzieł impresjonistów Włoch Ludovico Morante. Przez wiele lat był jednym z opiekunów kolekcji sztuki renesansowej, prezentowanej we florenckim muzeum Uffizi. Odszedł po przegranym konkursie z Niemcem na dyrektora tej instytucji. Uznał wtedy, że czynniki organizacyjne miały wyższość nad duchowymi, a galeria sztuki to nie fabryka samochodów, gdzie liczy się głównie niemiecka solidność. W takim towarzystwie nie widział miejsca dla siebie. Przeżył to dotkliwie i powrócił do rodzinnego Neapolu, gdzie w ubiegłym roku spotkał Klaudię Stewart na jednej z imprez kolekcjonerskich. Po kilkunastu minutach swobodnej rozmowy podczas lunchu zaproponowała mu pracę w Nowym Jorku wraz z godziwym uposażeniem i czteropokojowym mieszkaniem przy Central Parku. Zgodził się i wielokrotnie podkreślał, że była to właściwa decyzja. Ponadto skrycie podkochiwał się w swojej patronce, o czym Teksanka – o oczach zielonych jak woda w słynnej szmaragdowej grocie na

Capri – nie miała pojęcia. Zresztą i tak nie przywiązywałyaby do tego większego znaczenia, bo od roku jej serce należało już do kogoś innego.

– Witam serdecznie, Klaudio! – uśmiechnął się Ludovico Morante na widok pary wchodzącej do salonu wystawy. Nie spojrzał jednak na towarzyszącego jej mężczyznę.

– Dobry wieczór, to jest mój przyjaciel Ronald Solski – odpowiedziała, wskazując ręką swojego partnera. Zauważyła, że Włoch zignorował jej towarzysza i nie zrobił tego przypadkowo.

Sam zainteresowany nie zwracał jednak uwagi na tego typu szczegóły. Przynajmniej w tym przypadku. Przybył na wystawę specjalnie dla Klaudii Stewart i nie planował zbyt mocno integrować się ze środowiskiem koneserów malarstwa. Przywitał się chłodno i rozejrzał po sali. Wyglądało na to, że kolekcja była gotowa na przybycie gości. Pozostała jeszcze niespełna godzina.

Właścicielka galerii nie zamierzała jednak tracić czasu i chciała wtajemniczyć swojego przyjaciela w historię tego, co zostało wystawione, tym bardziej że wielokrotnie opowiadała mu o rodzinnej kolekcji.

– Pilnuj spraw! Natomiast ja przedstawię gwiazdeczki naszej dzisiejszej wystawy, póki jeszcze jesteśmy sami...

Włoch z wyczuwalną niechęcią pokiwał głową i udał się dwa piętra wyżej do swojego gabinetu. Ona chwyciła Ronalda za rękę i poprowadziła w kierunku kupionych miesiąc wcześniej trzech dzieł francuskiego impresjonisty

Camille'a Pissarra. Stanęli przed ścianą galerii, kiedy rozpoczęła swoją opowieść o grze cienia, z której zasłynał malarz.

– Zawsze, gdy patrzę na jego obrazy, myślę o tym, czego nie potrafię dostrzec. Może to głupie, ale wiesz, Ronaldzie, nietrudno zobaczyć to, co jest łatwo widoczne, trywialne. Sztuka polega na spostrzeganiu rzeczy, które istnieją, ale nie dla każdego. Część z nas bowiem potrafi spojrzeć na dzieło jakby w kolejnym, dodatkowym wymiarze. Nie każdy ma taki dar. Tak też jest w życiu, nie każdy potrafi dostrzec miłość drugiego człowieka. Nie wszyscy są w stanie kochać...

Przerwała na chwilę. Spojrzała na stojącego i wpatzonego w eksponaty mężczyznę. Wyczuł jej wzrok i zauważył w oczach kobiety szczęśliwy odblask przeżywanych chwil. Nie był jednak do końca pewien, czy jest to rezultat spotkania ze sztuką Camille'a Pissarra, czy też wpływ jego towarzystwa. Ona jednak pocałowała go delikatnie w usta. Tak jak wczoraj wieczorem na promenadzie Brooklyn Heights. Kiedy wyszli z restauracji po jego opowieści o wydarzeniach jedenastego września, Klaudia, podobnie jak teraz, szepnęła mu do ucha:

– Kocham cię...

Nie odpowiedział...

Teraz jednak prawą ręką lekko dotknął jej policzka, aby nie zniszczyć makijażu. Dziś był intensywniejszy niż zwykle. Kobieta ponownie spojrzała na dzieła francuskiego impresjonisty i kontynuowała niczym w

transie przeżywanie sentymentalnej podróży. Jej partner biernie stał obok. Nie przerywał... Uwielbiał słuchać, kiedy opowiada o tym, co kocha. Poczuł, że chce, aby głębiej wprowadziła go w świat swojej pasji, dlatego cierpliwie podążał za tokiem jej wypowiedzi.

– Fantastyczne w twórczości Pissarra jest to, że artysta zdecydował użyć do wyrażania swoich uczuć środki, które większość z nas odrzuca. Sięgnął po cień. Zostawił światło na drugim planie, jakby wybrał życie z boku, a jednak osiągnął swój cel. To, co widzisz, Roni, ten obraz przypominający osiwiiałe pola pokryte szronem, niewielkim, bo sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, dał początek impresjonizmowi w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym. Czy to nie intrygujące? – zapytała retorycznie, wpatrując się w malowidła.

Po chwili jednak przerwała swoje rozważania i spojrzała na stojącego obok towarzysza. Nie była pewna, czy ją słucha, czy też udaje... Utrzymała jeszcze przez kilka sekund wzrok na jego twarzy. Zauważyła małą iskierkę uśmiechu. Roześmiała się szeroko.

– Myślisz, że jestem sentymentalna i zaczynam się rozwodzić nad jakimiś obrazami. Prawie sto milionów kosztowały...

– Kawał pieniądza, ale takie są dzisiaj ceny. Wszystko idzie w górę – odwzajemnił uśmiech, starając się zażartować z fortuny, którą jego przyjaciółka wydała na wiszące przed nim arcydzieła.

Ona jednak nie była przekonana, czy to, o czym mówi, trafia do niego, czy też żartuje sobie z jej kolekcjonerskiej pasji. Ronald nagle spowaźniał, jakby chciał ułatwić jej zadanie. Ponownie przypatrzył się obrazom i po krótkiej chwili wykrztusił:

– Klaudia, nie wiem tak naprawdę, ile to jest warte. Czy sto milionów, czy też mniej, ale myślę, że masz rację. Łatwo jest w życiu osiągnąć wiele, dysponując wszystkim, sztuką natomiast jest pozostawić coś po sobie, korzystając z tego, co większość z nas odrzuca. To trochę jak ze szczęściem składającym się z nieszczęść, których udało się uniknąć. Chyba podobnie jest z tym cieniem. Pissarro go wykorzystuje, aby bardziej podkreślić znaczenie światła i... gdzie możemy je znaleźć...

– Teraz brzmisz troszeczkę jak pastor w trakcie kazania... – oceniła.

– Może i coś w tym jest... Kiedy popatrzysz na twórczość tego artysty, to dostrzeżesz pewne podobieństwa z chrześcijaństwem. Tutaj masz akcentowanie światła poprzez wykorzystanie cienia, czyli używanie tego, co nie jest atrakcyjne, aby zaznaczyć samą istotę rzeczy...

Rozważania zostały przerwane przez Ludovico Morante. Spojrzał w ich stronę, donośnym głosem informując:

– Twoi impresjoniści właśnie podjeżdżają!

Miał na myśli współgospodarzy imprezy – założycieli Amerykańskiego Stowarzyszenia Impresjonistów,

małżeństwo Julię i Henry'ego Sorensenów. Klaudia Stewart dobrze знаła tych malarzy mieszkających na Florydzie. Ich aktywność często wspomagała finansowo przy okazji organizowania wielu imprez amerykańskich twórców na terenie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Wielokrotnie prosili ją, aby weszła do zarządu fundacji, ale odmawiała. Nie chciała brać na siebie zbyt wielu obowiązków, których nie mogłaby pogodzić. Ponadto znała dogłębnie świat kolekcjonerów sztuki. Właściciele znanych galerii prywatnych raczej nie pełnili funkcji w innych podobnych instytucjach. Dbali o prestiż swoich kolekcji.

Kiedy po krótkiej chwili małżeństwo Sorensenów pojawiło się w sali wystawowej, gospodyni serdecznie ich przywitała:

– Dobry wieczór, doskonale, że jesteście trochę wcześniej !

– Witaj Klaudio! Ha, ha! Gdzie te cudeńka? – spytał zniecierpliwiony mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce, którego zarost przypominał Ernesta Hemingwaya. Tryskał pełnią emocji i zaczął energicznie rozglądać się po sali.

Jego żona zauważyła, że popełnia pewien nietakt. Uderzyła go pod żebro, aby powstrzymał swój temperament. Zbyt mało uwagi poświęcił właścicielce galerii, od razu poszukując malowideł. Znała jednak jego mentalność i głód sztuki.

– Wybacz, Klaudio, opowiada o tym Pissarro już od kilku dni... Kierowca, który wiozł nas z lotniska, patrzył

na niego jak na dziwaka... Nic dziwnego – ciągle gadał o obrazach...

– Ha, ha! – roześmiał się Henry Sorensen. – Gapił się na mnie jak na głupka, bo zrozumiał, że zapłaciłem sto milionów dolarów za obraz. Pomyślał, że jestem wariatem, i to jeszcze takim, którego nie stać na limuzynę z lotniska, tylko na żółtą taksówkę.

Spojrzał na Klaudię Stewart i z zaciekawieniem spytał:

– Właściwie to nie rozumiem, jak to działa? Ta cała aukcja, przy tak wielkich kwotach?

Dobrze znała proces nabywania dzieł sztuki na licytacjach otwartych. Miała właśnie odpowiedzieć na pytanie gościa, kiedy zauważyła wchodzącego do sali jej dobrego znajomego Johna Sontera. Skierowała się w stronę przybyłego właśnie mężczyzny.

– Witam twórcę sukcesu! – oznajmiła radosnym głosem. Uśmiechnęła się do obecnych i bez większego zastanowienia odbił komplement:

– Mogę powiedzieć, Klaudio – gratuluję świetnego gustu!

Właścicielka galerii odwróciła się do obecnych w sali osób i spokojnym głosem dokonała prezentacji:

– Pozwólcie... To jest John Sonter! Wiceprezes domu aukcyjnego Christie's. Moja prawa ręka w poszukiwaniu skarbów w świecie sztuki i serdeczny przyjaciel.

Wymieniony uśmiechnął się znacząco, jakby chciał zaznaczyć swoją szczególną rolę w obecnym na sali

towarzystwie i zaakcentować samozadowolenie. Reprezentował klientkę od ponad pięciu lat w różnych częściach świata. Tam, gdzie chciała, aby był obecny, i gdzie można było nabyć dzieła dla niej ważne. Znał gust Klaudii Stewart i doskonale wiedział, czego poszukuje w świecie sztuki. Być może to był jeden z powodów, który determinował ich relacje oparte na znacznym zaufaniu. Było ono dość głębokie, a jego owoce kosztowały ponad trzysta milionów dolarów. Tyle bowiem przeznaczyła w ostatnich latach na pozyskanie różnych „perełek” podczas aukcji otwartych oraz bezpośrednio od innych kolekcjonerów. A ich zbieraczem był właśnie John Sonter. Oczywiście nie robił tego za darmo...Dzięki współpracy z Teksanką dorobił się również niemałej fortuny.

– John, Henry pytał, na czym polega proces licytacji przy tak znacznych kwotach. Odkryjesz rąbka tajemnicy?
– nawiązała do wcześniejszej wypowiedzi swojego znajomego.

Wiceprezes domu aukcyjnego Christie’s popatrzył na stojącego obok mężczyznę przypominającego Ernesta Hemingwaya. Nie znał go wcześniej, ale nie widział powodu, aby nie opowiedzieć kilku słów o tym, czym się zajmuje. Szczególnie wtedy, kiedy miał się czym pochwalić.

Z poważnym wyrazem twarzy rozpoczął kilkuminutową wypowiedź, starając się unikać szczegółów, stanowiących tajemnicę handlową w swoich zawodowych poczynaniach. Doskonale potrafił mówić tak, aby jego rozmówca poczuł

się nasycony. Rozpoczął pewnym siebie głosem, świadczącym o tym, że doskonale zna temat.

– Dzieła sztuki są towarem na rynku dość specyficznym, na aukcji bowiem mogą oglądać praktycznie wszyscy, ale na ich nabycie stać niewielu.

– Niestety, cholera, podobnie jak z piękną aktorką na ekranie telewizora. Każdy może popatrzeć, ale niewielu ją zdobyć – wtrącił niespodziewanie Henry Sorensen.

John Sonter zastanowił się przez chwilę. Chciał być grzeczny, ale nie widział związku w aluzji, którą właśnie usłyszał. Uśmiechnął się sztucznie i kontynuował:

– Przy znacznych kwotach kluczowego znaczenia nabiera gwarancyjna suma licytacyjna, na przykład w przypadku sprzedanego właśnie za czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów obrazu „Salvator Mundi” Leonarda da Vinci wyniosła ona sto milionów. Znane domy aukcyjne stosują taką zasadę, między innymi Christie’s i Sotheby’s.

– Kto daje gwarancje i po co? – spytała kobieta, która właśnie dołączyła do kilku osób słuchających Johna Sontera.

– No właśnie, dobre pytanie. Kto wyklada tak diabelnie wielkie pieniądze i co się stanie, gdy nie znajdzie się nabywca? – powtórzył jakby sam do siebie mężczyzna o wyglądzie Ernesta Hemingwaya.

Wicedyrektor Christie’s, rozumiejąc zdziwienie swoich słuchaczy, spokojnie odpowiedział:

– Generalnie gwarancję zapewnia dom aukcyjny lub... anonimowy nabywca, któremu bardzo zależy, aby sprzedać konkretną rzecz za wyższą cenę i tym samym – uzyskać procent zysku. Chodzi o to, aby w ogóle towar był wylicytowany. Z zasady jest tak, że jeżeli nie uzyska on ceny wywoławczej, to trudno go później sprzedać za godziwe pieniądze. Przynajmniej w najbliższej perspektywie. Stąd sprzedawca chce mieć gwarancję na początku, zanim wystawi coś na aukcję. To taka polisa ubezpieczeniowa.

Przerwał na chwilę swoje rozważania, bo zauważył z daleka, jak Klaudia Stewart wita się z mężczyzną, którego dobrze znał. Był nim Fernando Costa – dyrektor Muzeum Gulbenkiana w Lizbonie. Rzucił szybkie spojrzenie i od razu zrozumiał, że nie jest to ich pierwsze spotkanie. Przez moment zaczął się zastanawiać, skąd Teksanka może znać Portugalczyka. Jednak myśl jego została przerwana przez kolejne pytanie skupionych wokół niego osób.

– Jeżeli miałabym coś sprzedać za kilka milionów dolarów i otrzymać cenę gwarancyjną na początek, tak? – spytała ponownie nieznajoma kobieta.

– Tak...

– To co z nadwyżką?

– Jaką nadwyżką? – spytał zdziwiony John Sonter, skupiając uwagę na rozmawiających kilka metrów dalej właścicielkę galerii i Portugalczyka.

Za wszelką cenę starał się z ich gestów wyczytać, jaki charakter ma ich znajomość. Jednak niewiele mógł odgadnąć. Klaudia Stewart spokojnie dyskutowała ze swoim znajomym w towarzystwie Ludovica Morante, charakterystycznie gestykującego na znak potwierdzenia głową. Po chwili do trójki dołączył Ronald Solski i wtedy... jakby Portugalczyk stał się mniej rozmowny. Sprawiał wrażenie, że czegoś się obawiał i nie chciał powiedzieć zbyt wiele. Dyrektor Muzeum Gulbenkiana wskazał ręką na wiszące na ścianie obrazy i podszedł powolnym krokiem do nich, opuszczając towarzystwo. Ciekawe, co on kombinuje... – zastanawiał się John Sonter, uświadamiając sobie właśnie, że kilka osób czeka na jego odpowiedź.

– Ach z nadwyżką... dobre pytanie – przerwał, przetykając ślinę.

Postanowił obserwować Portugalczyka. Było kwestią kilku sekund, kiedy bowiem ten go zauważył. Tymczasem kontynuował:

– Wiadomo, że każda polisa ubezpieczeniowa coś kosztuje. Jeżeli sprzedawca chce mieć zagwarantowaną cenę sprzedaży, to nie może otrzymać całej kwoty stanowiącej nadwyżkę. Musi się podzielić z domem aukcyjnym. Oczywiście to już są szczegóły umowy. Rozumiecie, o czym mówię? – zadał pytanie retoryczne z nadzieją, że na tym skończy swój wywód.

– Tak, to jest jasne... – potwierdził Henry Sorensen. – Jestem świadomy, że tego typu transakcja stanowi

również spore ryzyko dla domu aukcyjnego.

– Zgadza się... Jeżeli nie uda się sprzedać przedmiotu aukcji, to właścicielem zostaje dom aukcyjny, a sprzedawca otrzymuje cenę gwarancyjną. Stąd kiedy w grę wchodzi znaczne kwoty, to organizujemy kampanię promocyjną. Tak to było w przypadku Salvator Mundi – trzydzieści tysięcy ludzi obejrzało obraz w różnych częściach świata.

– Czasami są niepowodzenia. Pamiętasz obraz Il Duce Jeana-Michela Basquiata? – zagadnęła ponownie nieznajoma kobieta z miną, jakby złapała wicedyrektora Christie's na kłamstwie.

– Racja... Daliśmy cenę gwarancyjną dwudziestu pięciu milionów i nie znaleźliśmy nabywcy – potwierdził jednak spokojnie.

– I co? – spytała.

– Obraz jest w depozycie. Czeka na lepsze czasy – odpowiedział z urzędowym uśmiechem. Nie wyznał jednak całej prawdy, że Christie's od kilku tygodni intensywnie próbuje go sprzedać bezpośrednio prywatnemu nabywcy.

– No dobrze, ale jeśli licytowany jest przedmiot o znacznej cenie wywoławczej i nie znajdzie klienta? – westchnęła stojąca przy Johnie Sonterze nieznana mu kobieta.

– Tak. Poważne ryzyko dla domu aukcyjnego. Dlatego też w takim przypadku z zasady szukamy trzeciej strony –

gwaranta, który wyłożyłby konkretną sumę na początek. Pozyskuje on wtedy licytowaną rzecz, jeśli nie zostanie sprzedana na aukcji otwartej, a my oddajemy mu część zdeponowanych środków. Tym samym zmniejszamy ryzyko. Ponadto łatwiej się licytuje, jeżeli ludzie mają świadomość, że ktoś już wyłożył pewną kwotę, którą jest skłonny zapłacić. Taki istotny czynnik psychologiczny. Dobrze działa nawet wśród miliarderów. Ha, ha! ...

* * *

Laura Green zerwała się z krzesła i podeszła do otwartych drzwi. Delikatnie zapukała. Jednak nie słysząc reakcji, zrobiła dwa kroki naprzód. Zobaczyła swojego szefa siedzącego przy biurku. Był skupiony i trzymał w ręku kartkę.

– Dyrektorze? – zagadnęła.

– Tak... – Podniósł głowę, zerkając na zakłopotaną asystentkę.

– Pan Stewart już jest.

– Oczywiście. Zapraszam! – Wyszedł szybko zza biurka i podszedł do wejścia.

– Witaj, George! Cieszę się, że już dotarłeś! – powiedział kurtuazyjnie.

Teksańczyk zauważył, że szef CIA myślami był w innym miejscu. Jego entuzjastyczne przywitanie niewiele miało wspólnego z rzeczywistością. Nie kurtuazja była dla

George Stewarta w tym momencie najważniejsza. Nie przyszedł do swojego znajomego na obwąchiwanie ...

– Dobrze widzieć, jak dzielnie pracujesz dla naszej ojczyzny! Nie zajmę dużo czasu.

– Daj spokój ! Mnóstwo spraw, tak zwanych trudnych... Wróciliśmy właśnie z dziennego briefingu dla prezydenta!

– chciał kontynuować, ale przerwał. Zauważył, że w jego gabinecie nadal jest Laura Green czekająca na dyspozycję. Spojrzał w jej stronę i rzekł:

– Lauro, dwie kawy! I zabierz Toledo!

Uśmiechnęła się do siedzącego na sofie psa i rzuciła w jego kierunku:

– Toledo! Naprzód! Chodź!

Zwierzak posłusznie zeskoczył na podłogę i podążył za kobietą.

– Porządna dziewczyna. Bardzo sprawna! – pochwalił szef CIA.

George Stewart nie potwierdził. Z odrobiną sarkazmu dodał:

– Tak! Zawsze miałeś sprawne asystentki. Jednak uważaj. Może lepiej znaleźć asystenta?

– Dlaczego? Kobiety są bardziej lojalne, chociaż czasami mają skłonności do manipulacji. Szczególnie kiedy są blisko szefa... Uwierz mi, George, gdy pracujesz w wywiadzie z tymi ludźmi, to po pewnym czasie odnosisz wrażenie, że jest on jak krótka spódniczka. Pokazuje

wiele, ale nie odsłania najważniejszego ... Nigdy nie powiedzą ci wszystkiego!

Popatrzył na Teksańczyka z frustracją i podszedł do barku. Wyjął butelkę burbona. Z przesadną dokładnością nalał do dwóch szklanek. Jedną podał gościowi, a następnie z wyraźną irytacją w głosie rzekł:

– Mówię ci, George, czasami nie da się na trzeźwo!

– Co się stało?

– Nic. Normalna, cholerna robota i kolejne problemy z Pierwszym Odbiorcą!

Tak nazywano w CIA prezydenta USA. Jako pierwszego i najważniejszego odbiorcę materiałów informacyjnych, przygotowywanych przez służby wywiadowcze dla Białego Domu. Teksańczyk nie odpowiedział. Czekał na ciąg dalszy. Peter Howard przechylił do dna szklankę z alkoholem i z pewną rezygnacją rzekł:

– Nie możemy wymyślać rzeczywistości. Tłumaczyłem prezydentowi, że to nie kampania wyborcza. Agencja nie przedstawia „alternatywnych faktów”, kiedy te prawdziwe nam się nie podobają. Niedobre rzeczy dzieją się w administracji, uwierz mi, George...

– Musisz cisnąć prezydenta. Twoja rola jest niebagatelna. Trzeba tego człowieka nauczyć, jak działa państwo – powiedział z determinacją prezes Roxona.

– To nie takie proste, George ! Dzisiaj usłyszałem od niego, że ma to wszystko w dupie! „Prawda się nie liczy,

kłamstwa też. Ważne kto się wypiera, a kto napiera!” – żalił się szef CIA.

– Co miał na myśli?

– Nasze oceny zawierane w dziennym briefingu dla Pierwszego Odbiorcy. Najpierw nie chciał tego czytać, to przeszliśmy na komunikację ustną. Rozumiałem, że jako prezydent ma prawo wybrać sobie formę.

– Oczywiście. To jego decyzja – zgodził się Teksańczyk.

– W porządku, ale nasza forma stawała się coraz krótsza. Z kilku stron przeszliśmy praktycznie do jednej. Ta utleniona blondyna, która codziennie wiąże buty prezydentowi, zaczęła mnie pouczać, że jedna strona to i tak zbyt wiele ... Szef jest wzrokowcem, przedstawiajcie swoje briefingi w sposób bardziej obrazowy. Co to, kurwa, ma znaczyć?! Nie produkujemy przecież filmów rysunkowych! – powiedział podniesionym głosem poirytowany. Po chwili dodał:

– George, nie chodziło tylko o formę, ale również o zawarte treści. Nie możemy dobierać faktów do briefingu pod wcześniej ustalone tezy prezydenta. Już to przerabialiśmy podczas wojny w Iraku. Mówię ci, niedobrze się dzieje w Białym Domu, George, prezydent otoczony samymi Flinstonami – ponownie wyrzucił swój żal jak mantrę, tym razem odnosząc się do prezydenckich współpracowników z kampanii wyborczej, którzy tworzyli odseparowany od zawodowych urzędników obóz. Nieprofesjonalną grupę ludzi, wżgardzanych przez dyplomatów i pracowników służb.

– Ale sam chciałeś wziąć tę robotę! Ostrzegałem cię, że to sandwicz poprzekładany krowim łajnem! – przyznał z grymasem na twarzy George Stewart.

* * *

Spojrzała na niego z chwilą zastanowienia. Jakby chciała coś dodać... Na tym jednak przestała. Korytarzem przeszła do windy i po trzech minutach była już w ogromnym holu na parterze północnej wieży WTC. Ludzie powoli schodzili się do pracy. Szybko przepłynęła przez obrotowe drzwi, przedostała się na zewnątrz i skierowała do budynku nowojorskiego oddziału FBI. Rzuciła gest powitania do rozpoczynającego swoją zmianę pracownika ochrony i przeszła do jednej z wind, aby po dwóch minutach dotrzeć na piętro do swojego gabinetu. Zauważyła na korytarzu gęstniejący ruch. Zaczęło się... – pomyślała. Większość z tysiąca stu agentów FBI – nazywanych zwyczajowo G-man – dotarła już do stanowisk pracy. Rozpoczęli procedurę aktualizacji raportów i przeglądania korespondencji wewnętrznej. Niektórzy z kierowników sekcji planowali odprawy o godzinie dziewiętej.

Florence również zalegała z papierową robotą. Usiadła przy biurku i zalogowała się do sieci wewnętrznej. Odczekała chwilę. Niespodziewanie usłyszała narastający, nietypowy dźwięk silników samolotu. Jakby ktoś pod jej drzwiami włączył odkurzacz. Dynamicznie rozchodzące

się odgłosy ssania. Nigdy tego wcześniej nie było. Szybko wstała od biurka i popatrzyła przez zachodnie okno na północną wieżę WTC. Nagle rozległa się ogłuszająca eksplozja. Poczuła, jakby niszczycielska fala tsunami uderzyła w jej budynek. Studziesięciopiętrowy wieżowiec, w którym kilka minut wcześniej przebywała, zaczął płonąć.

O Boże! Zahaczył... – pomyślała i wybiegła na korytarz. Ludzie biegali dookoła, ktoś krzyczał, że samolot pasażerski uderzył w północną wieżę WTC.

– Straszny wypadek! – jęknął kolega z sąsiedniego pokoju.

Chciała ogarnąć sytuację. Błyskawicznie wróciła do swojego gabinetu. Popatrzyła na ogromną chmurę czarnego dymu oraz rozchodzące się z zawrotną prędkością języki ognia. Starła się szybko myśleć. Przypomniała sobie długie rozmowy z Dawidem Lee, który opowiadał jej o szczegółach ataku terrorystycznego na WTC w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Zginęło wtedy sześć osób, a FBI udało się zapobiec realizacji dalszych planów terrorystów – wysadzeniu tuneli Lincolna i Holland, siedziby ONZ oraz budynku, w którym znajdował się nowojorski oddział Biura. Szybko przeprowadzone śledztwo zakończyło się sukcesem i skazaniem organizatorów zamachów powiązanych z centrum uchodźców Al Kifah na Brooklynie. Osama bin Laden miał tam wówczas swoich ludzi.

Florence podniosła słuchawkę i wybrała numer męża. Po kilku sekundach usłyszała znajomy głos.

– Tak kochanie...

– Ronald! Północna wieża płonie! – krzyknęła do telefonu.

– Jak to płonie? – zapytał zdezorientowany.

– Nie wiem! Jakiś pieprzony samolot uderzył... Chyba atak terrorystyczny! Koszmar! Muszę kończyć, bo mamy komunikaty do akcji!

– Flor! Wyjedź ze strefy zagrożenia! To nie koniec! Uciekaj ze strefy ataku! – krzyczał, powtarzając tę samą sekwencję.

– Muszę kończyć, muszę kończyć... Będzie dobrze! – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Wybiegła na korytarz. Zauważyła, jak jej szef, Barry Mawn, dynamicznie wydaje dyspozycje swoim współpracownikom. Doświadczony agent specjalny nie znał jeszcze przyczyny katastrofy, ale przeczuwał, że z jego pechem może to być atak terrorystyczny. Kiedy był dyrektorem jednostki Biura w Bostonie, to samolot egipskich linii lotniczych lot 990 spadł z niewyjaśnionych powodów do Atlantyku. Z kolei po jego nominacji na szefa oddziału FBI w Newark Ted Kaczyński, zwany Unabomberem, uderzył w New Jersey. Agenci z Nowego Jorku żartowali, że nie chcą Barry'ego Mawna, bo jeszcze im życie miłe.

– Wezwijcie SWAT i połączoną grupę zadaniową do zagrożeń terrorystycznych! Musimy uruchomić bieżące raportowanie do SIOC! Trzeba sprawdzić, kto i gdzie się obecnie znajduje! – krzyczał.

Spojrzał na Florence, stojącą nieruchomo na korytarzu niczym słup soli.

– Flor, zlicz wszystkich, czy ktoś nie utknął w północnej wieży?! Trzeba przesłać informację o stanie osobowym oddziału do Centrali.

SIOC, czyli Centrum Informacyjne Operacji Strategicznych, zajmowało piąte piętro siedziby FBI w Waszyngtonie. Tam właśnie agenci nadzorujący wieloaspektowe dochodzenia przedstawiali briefingi dla kierownictwa służby oraz odbywali narady nad skomplikowanymi śledztwami w sprawach szpiegowskich lub terrorystycznych.

Jednak Florence dobrze znała jego ograniczenia, z którymi w swojej pracy spotykała się w przeszłości. Kiedy kilka oddziałów FBI z różnych części kraju zaczęło jednocześnie przysyłać informacje na konkretny temat, wtedy tak zwany automatyczny system wspierania dochodzenia zatykał się i nie przyjmował kolejnych danych. W takim przypadku agentom pracującym w SIOC trudno było powiązać poszczególne wątki śledztwa w całość. Problemu nie udało się przez wiele lat rozwiązać, między innymi z powodu znanej niechęci byłego szefa FBI Louisa Freeha do technologicznej modernizacji służby.

Stąd w praktyce agenci zajmujący się konkretnym dochodzeniem często obchodzili procedury i wykorzystywali połączenia telefoniczne oraz faksowe do załatwiania swoich spraw. W rezultacie zbyt duża liczba nadchodzących faksów przytłaczała dyżurujących w SIOC, którzy po kilka dniach nie przeglądali otrzymanych informacji. Wiedziała o tym doskonale Florence Solksi. Uznała więc, że w obecnych okolicznościach nie ma czasu. Podniosła słuchawkę i wybrała numer dyżurny w Waszyngtonie.

– Tutaj agentka Solksi z Nowego Jorku. Wszczęliśmy procedurę alarmową w związku z katastrofą w WTC! Analizujemy sytuację i sprawdzamy stan osobowy – krzyknęła do telefonu.

– Rozumiem! Informujcie na bieżąco. Chcemy mieć krótki briefing za pół godziny! Dyrektor Watson ma odprawę. – Usłyszała odpowiedź.

Dale Watson zarządzał departamentem antyterrorystycznym w centrali FBI w Waszyngtonie. Kiedy dochodziło do ważnych wydarzeń w obszarze zainteresowań jednej z jednostek Biura, jej szef organizował naradę z pozostałymi dyrektorami i przedstawiał briefing w konkretnej sprawie. Pozwalało to rozdysponować zadania do innych grup.

Florence wiedziała, że musi ustalić, czy któryś z agentów FBI nie przebywa w północnej wieży WTC – tak jak ona kilkanaście minut wcześniej. Bez zbędnego zastanowienia szarpnęła słuchawkę i wybrała numer

telefonu Dawida Lee. Pomyślała, że jako szef ochrony całego kompleksu World Trade Center może mieć jakiegokolwiek informacje. Zresztą – teraz nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. Stojąc przy biurku, niecierpliwie czekała, czy odbierze. Bez skutku. Przez okno widziała, jak ogromne fale czarnego dymu coraz bardziej pochłaniają wieżowiec. Cholera, Dawid, gdzie jesteś...? Po chwili jednak zrozumiała, że to, co robi, nie ma sensu. Przecież facet nie czeka przy biurku na jej telefon w takiej sytuacji. Spróbowała na telefon komórkowy. Nic!... Linia była zajęta.

Podbiegła do gabinetu swojego szefa i krzyknęła przez otwarte drzwi:

– Nie mogę połączyć się z ochroną WTC! Zjadę na dół!

– Gdzie na dół! ? – spytał Barry Mawn.

– Muszę znaleźć Dawida Lee. Pewnie nadzoruje ewakuację północnej wieży! – odpowiedziała pospiesznie. Zobaczę, czy jest tam ktoś z naszych!

Barry Mawn dobrze znał szefa ochrony WTC. Panowie nie darzyli się jednak sympatią. Obaj mieli sztywne kręgosłupy i nie lubili kompromisów. Uznawali, że pójście komuś na rękę w środowisku służb jest oznaką słabości. Zresztą Dawid Lee wielokrotnie przypominał w rozmowach z Florence, że najgorzej być postrzeganym jako „miękką faję”. Kiedy agent dostanie taką etykietę, to niezależnie, co zrobiłby w przyszłości, nie zmyje tego.

W obecnych okolicznościach walki personalne nie były jednak istotne. Spojrzał na nią i bez namysłu krzyknął:

– Dobrze! Postaraj się go znaleźć. Poszukaj naszych i przekaz Dawidowi, żeby wyznaczył kogoś ze swojego zespołu ochrony do wspólnego centrum dowodzenia ewakuacją. O dziesiątej pierwsze spotkanie. Będzie policja i straż.

Skinęła głową i odwróciła się w stronę wyjścia na korytarz, gdzie znajdowały się windy. Po kilku sekundach usłyszała z daleka zatroskany głos Barry'ego Mawna.

– Flor! Najważniejsze! Uważaj na siebie!

– Dobrze, szefie ! – odpowiedziała i szybkim krokiem przeszła w stronę szybu wind.

Popatrzyła na zegarek. Była za pięć dziesiąta. Cztery windy obsługujące wyłącznie nowojorski oddział FBI były przeznaczone dla agentów tej służby. Ich przepustki wejściowe do biura jednocześnie były używane do obsługi poszczególnych dźwigów. Stąd – pomimo znacznego zamieszania w całym budynku Jacoba Javitsa przy dwadzieścia sześć Federal Plaza – Florence bez większych problemów po dwóch minutach zjechała na parter. Tam jednak coraz bardziej było widać panikę i wybiegających z poszczególnych wind pracowników innych firm. Każdy chciał wydostać się na zewnątrz, jak najdalej od miejsca katastrofy.

Przebiegła przez rozległe lobby i wyszła na ulicę. Poczwała silny zapach wszechobecnego pyłu przypominającego mieszanekę palącej się gumy i stapianej stali.

– Niech pani nie wdycha! To jest toksyczne! – krzyknął nieznajomy mężczyzna, który razem z nią wybiegł z budynku. Agentka FBI skinęła głową, ale nie wiedziała, czym ma zasłonić twarz. Nie miała zresztą na to czasu.

Dawid, gdzie jesteś? – pomyślała i przebiegła w kierunku północnej wieży WTC. Zobaczyła narastającą liczbę wozów strażackich i radiowozów policyjnych. Zrozumiała, że akcja ewakuacyjna przybiera na sile. Rozejrzała się dookoła, jakby chciała rozpoznać kogoś ze swoich kolegów z Biura. Nie rozpoznała nikogo. Narastał natomiast krzyk wybiegających z okolicznych budynków spanikowanych ludzi. Popatrzyła na pospiesznie podjeżdżające kolejne jednostki strażackie i wybiegających z samochodów policjantów. Przystanęła na chwilę i spojrzała na górne i coraz silniej pochłonięte przez czarny dym najwyższe piętra północnej wieży. Zauważyła, jak mężczyzna wyskoczył przez okno, a jego ciało roztrzaskało się o chodnik kilkanaście metrów dalej ... To już koniec... Tak wygląda piekło... – ta myśl utkwiała jej w głowie. Stała niczym wmurowana. Czuła się tak bezsilna, jak większość funkcjonariuszy wokół niej prowadzących akcję ratowniczą. Wyjęła telefon i zadzwoniła do męża.

– Ronald! – krzyknęła. – To jest armagedon! – Chyba po nas...

– Flor, gdzie jesteś? Gdzie jesteś? – wrzeszczał do telefonu.

Niewiele mógł zrozumieć, słyszał tylko wszechobecne krzyki. Po chwili sygnał się urwał...

Kiedy samolot linii American Airlines lot numer jedenście o godzinie ósmej czterdzieści sześć uderzył w wieżowiec północnej wieży WTC, bezpośrednia kula ognia przeszła przez piętra od dziewięćdziesiątego trzeciego do dziewięćdziesiątego dziewiątego. Trzy windy budynku przestały działać od dziewięćdziesiątej drugiej kondygnacji w górę. W pierwszych sekundach po katastrofie zginęło kilkaset osób przebywających w pomieszczeniach objętych uderzeniem, a kolejne setki zostały uwięzione. Gęsty dym i ogień przedostały się poprzez szyby windowe niżej. Tymczasem ci, którzy utknęli w płonącym budynku, zaczęli gromadzić się w kilkusobowych grupach najwyżej – pomiędzy sto trzecią a sto szóstą kondygnacją. Ludzie zostali również zamknięci w windach pomiędzy nimi. Na niższych piętrach wszyscy oczekiwali na pomoc służb ratunkowych. Liczyli na szybką, sprawną ewakuację i czekali w swoich biurach...

Nie było możliwości dodzwonić się gdziekolwiek. Kilka sekund po katastrofie nowojorski numer alarmowy zawieszał się z powodu zbyt dużego obciążenia. Wybierali go głównie świadkowie tragedii znajdujący się w okolicy kompleksu WTC. Jej bezpośrednie ofiary nie mogły natomiast doprosić się pomocy...

Znaczna grupa pracowników – w tym Dawid Lee – znajdowała się na dziewięćdziesiątym drugim piętrze,

teoretycznie poniżej bezpośredniej strefy rażenia, ale bez możliwości ewakuacji. Szyby windowe i schody ewakuacyjne wypełniły się bowiem gęstym dymem. Temperatura pomieszczeń szybko narastała. Szef ochrony WTC został odcięty od linii telefonicznych. Sieć komórkowa była przeciążona, a wewnętrzna – ciągle zajęta. Dawid Lee nie zdążył zjechać na parter, aby pokierować ewakuacją. Liczył, że pracujący tam jego zastępca, doświadczony strażak John Sun, stanie na wysokości zadania. Chaos był jednak tak wielki, że okazało się, iż on sam, przez prawie dziesięć minut po katastrofie, nie wiedział, że samolot pasażerski uderzył w budynek. Trzymał się protokołu bezpieczeństwa i zarządził ewakuację kondygnacji objętych pożarem – tam, gdzie system komputerowy go poinformował, że wybuchł pożar. Zgodnie z procedurą ludzie mieli zejść dwa piętra niżej i czekać na dalsze instrukcje. John Sun nie wiedział jednak, że w obecnych warunkach takie działanie nie jest możliwe. Z powodu zniszczeń struktury budynku nie pracowały systemy akustyczne ogłaszające ewakuację. Awarii uległa również wewnętrzna sieć przeciwpożarowa, wykorzystywana wcześniej do licznych ćwiczeń. Ludzie podnosili słuchawki i szybko zrozumieli, że tą drogą nie uzyskają pomocy.

Tymczasem operatorzy numeru alarmowego byli zupełnie zdezorientowani. Często nie byli w stanie stwierdzić, czy dzwonią świadkowie katastrofy, czy też jej ofiary. Jeżeli komuś z osób uwięzionych w północnej wieży

WTC udało się połączyć to zazwyczaj otrzymywał instrukcję, aby – zgodnie ze standardami przeciwpożarowymi – położyć się na podłodze i czekać na przybycie personelu ratunkowego. Mimo że o godzinie ósmej pięćdziesiąt siedem dowództwo nowojorskiej straży pożarnej podjęło decyzję o całkowitej ewakuacji nie tylko wieży północnej, ale również bliźniaczej – południowej, nie poinformowano o tym operatorów numeru alarmowego. Nie otrzymały tej informacji również jednostki straży pożarnej, prowadzące akcję na miejscu – w kompleksie WTC.

Jednak w kolejnych minutach ludzie uznali, że należy – niezależnie od wszystkiego – opuszczać budynek bez czekania na formalne ogłoszenie ewakuacji. Setki osób zaczęły wychodzić z północnej wieży, a nadzorujący ten proces policjanci i strażacy skupili się na uwięzionych na wyższych piętrach. Szybko wzrastająca temperatura i rozprzestrzeniający się dym wymusił na ludziach wybijanie okien. Niektórzy w akcie desperacji wyskakiwali z pomieszczeń powyżej dziewięćdziesiątego trzeciego piętra. Pogłębiała się izolacja osób znajdujących się na szczycie wieżowca, a ich szanse na przeżycie gwałtownie malały. Bezpośrednie otoczenie budynku stawało się coraz bardziej niebezpieczne ze względu na spadające z góry szklano-metalowe fragmenty jego konstrukcji.

W tych okolicznościach trudno było uwierzyć, że znaczna część osób znajdujących się obok – w wieży

południowej – w kilka minut po katastrofie nie miała świadomości, co tak naprawdę się wydarzyło. Niektórzy otrzymali informację, że pali się ich budynek, a nie sąsiednia wieża. Szef ochrony przeciwpożarowej, odpowiedzialny za południową wieżę WTC, poinformował swojego odpowiednika w północnej wieży, że zanim podejmie decyzję i ogłosi ewakuację, poczeka na instrukcję od kierownictwa nowojorskiej straży pożarnej. Była ósma czterdzieści dziewięć. Przybywający w południowej wieży otrzymali od ochrony budynku komunikat, aby pozostali w swoich pokojach, ponieważ pożar jest w sąsiednim wieżowcu i nic im nie grozi. W rezultacie część z nich, która postanowiła się ewakuować, powróciła do biur... Taką instrukcję otrzymali od pracowników ochrony nawet ci, którzy zjechali na parter i wychodzili już z budynku. Wsiedli do wind i pojechali na górę do swoich pomieszczeń biurowych. Spotkać przeznaczenie...

Zdezorientowana Florence spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta dwie. W bocznej kieszeni spodni poczuła wibrujący telefon. Wreszcie... – pomyślała w nadziei, że operatorom udało się odblokować przeciążone linie. Wyjęła aparat – numer prywatny. Nie zastanawiała się, kto może dzwonić. Nie było na to czasu. Nacisnęła przycisk połączenia rozmowy i usłyszała nieznamy głos mężczyzny. Kontekst rozmowy był jednak jej znany...

* * *

General Edgar Oz spokojnie lustrował obecnych na sali. Za chwilę miał wysłuchać szczegółów operacji planowanej przez pion Mossadu „Cesarea”. Zazwyczaj jako doradca premiera nie uczestniczył w tego typu odprawach. Tym razem jednak sprawa miała inny wymiar. Dotyczyła jego osobiście i była wyjątkowo delikatna. Stąd planowane działania omawiał dyrektor tej jednostki Dawid Amichai. Chociaż żaden z osiemnastu uczestników spotkania nie włożył marynarki czy też krawata, atmosfera daleka była od rozluźnionej ...

Kiedy szef pionu operacyjnego przechodził do przedstawiania kolejnych faz akcji, dawało się wyczuć w powietrzu narastające napięcie. Jakby poszczególni członkowie narady widzieli wyraźnie, że coś nie gra. Licznymi, charakterystycznymi tylko dla siebie ruchami rąk i grymasami na twarzy starali się przekazać w milczeniu swoje wątpliwości. Jednak oblicze Edgara Oza wyrażało tylko ignorancję dla tego typu gestów. Rozumiał, że po pewnym czasie służby w wywiadzie każdego dopadną jakieś przypadłości. Ludzie ulegają zużyciu, co często widać w ich zachowaniu. Jedni nie potrafią się wyłączyć i po powrocie do domu ciągle zachowują się tak, jakby prowadzili grę operacyjną wobec najbliższych. Inni nabywają nietypowych tików nerwowych. Kolejni zaczynają się jękać, a następni – z biegiem lat – zmieniają swoje preferencje seksualne. Generał wiedział o tym i w pełni aprobował. Tak długo, jak nie przeszkadzało to w realizacji zadań. Podobnie było w tym przypadku.

Ignorował nieskoordynowane pojękiwania swoich rozmówców. Interesowało go tylko jedno – przeprowadzenie operacji niezależnie od kosztów...

– Figuranci przylecą do Dubaju na trzy dni. Od siedemnastego do dwudziestego sierpnia – potwierdził dyrektor „Cesarei”.

Niski i otyły mężczyzna miał od wielu lat problemy z nadciśnieniem. W tym dniu szczególnie dawało się ono we znaki. Dawid Amichai nie tryskał dobrą formą. Słabo spał ostatniej nocy i był wyraźnie zmęczony. Nie mówił w charakterystycznym dla siebie płynnym stylu, lecz przerywał co kilka zdań, jakby zbierał myśli. Zdrowie stanowiło tylko jeden z problemów. Innym było odczucie, że nie do końca wszystko jest właściwie dopracowane.

– Kto to zweryfikował? – zapytał Edgar Oz.

– Panie generale, otrzymaliśmy potwierdzone dane od wywiadu wojskowego! – powiedziała jedyna obecna w sali kobieta. Widząc chwilę wyczekiwania rysującą się na twarzy pytającego, dodała: – Mają wgląd do skrzynek mailowych rezerwujących. Potwierdzili to również w systemie linii lotniczych Emirates. Nie może być pomyłki!

– Rozumiem. W porządku.

– Nie wiemy jednak, gdzie się zatrzymają – kontynuował Dawid Amichai.

– To słabo... – skrzywił się doradca premiera.

– Tak. To jest zasadniczy problem. Czynniki ten istotnie komplikuje całą operację. Wymaga bowiem zastosowania

znacznie większych środków – wyznał bez przekonania dyrektor „Cesarei”.

– To jest jasne. Przejdźmy dalej !

– Grupa zadaniowa będzie liczyć dwadzieścia trzy osoby. Kluczowa rola przypadnie jednak zespołowi na samym lotnisku w Dubaju. Musi on wychwycić figurantów po wylądowaniu, zanim opuszczą terminal.

– To chyba nie będzie trudne. Wystarczy stanąć przy wyjściu dla pasażerów! – rzekł zdziwiony Edgar Oz.

– Pod warunkiem że wyjdą razem ze wszystkimi uczestnikami lotu – skontrował Dawid Amichai. Widząc brak zrozumienia na twarzy pytającego, dodał: – Nie wykluczamy, że zostaną przejęci przez przedstawicieli służb gospodarzy i wyprowadzeni osobnym wyjściem dla VIP-ów bezpośrednio do samochodów.

– Dubajczycy wiedzą o ich przylocie?

– Z pewnością! Trudno sobie wyobrazić, aby nie wiedzieli o tego typu spotkaniu w swoim emiracie.

– Rozumiem. Co, gdy ich nie zidentyfikujecie na lotnisku?

– Zostaje telefon. Kobieta z pewnością będzie chciała pozostać w kontakcie ze swoim synem. Nie sądzimy, aby zmieniała kartę SIM.

– Dosyć ryzykowne założenie! – skrzywił się generał.

– Owszem. Ale wysoce prawdopodobne. Powinna mieć otwartą linię podczas pobytu w hotelu. Zajmie nam to więcej czasu, ale wystarczy. Jest do zrobienia...

– Niech będzie! Załóżmy, że to mamy z głowy. Jak grupa operacyjna wcześniej dotrze do Dubaju?

– Raczej grupy, panie generale. Będzie kilka zespołów. Jehuda, przedstaw, jak to wygląda od strony legalizacji – nakazał Dawid Amichai, zwracając się do mężczyzny siedzącego po jego prawej stronie.

Ten ponadczterdziestoletni dyrektor departamentu, zajmującego się przygotowawaniem dokumentów do działań operacyjnych Mossadu, bez zastanowienia rozpoczął:

– Wszyscy wjadą na prawdziwych paszportach obywateli państw, które nie wymagają wizy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Część z nich już wcześniej przebywała w Dubaju w celach rekonesansowych jako turyści.

– Skąd macie papiery? – spytał Edgar Oz.

– W różny sposób zostały pozyskane. Część pożyczono od Izraelczyków mających podwójne obywatelstwo, inne otrzymaliśmy drogą operacyjną.

– Czyli ich właściciele nie wiedzą, że wybierają się do Dubaju – uśmiechnął się generał. Spowodowało to rozluźnienie na sali, jednak nie na długo...

– Miejmy nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą! – dorzucił pośpiesznie Dawid Amichai. – Większość z nich ma prawdopodobnie już nowe paszporty po zagubieniu starych.

– Rozumiem, ale czy możemy założyć, że nasi ludzie będą w tym samym czasie w Dubaju, co faktyczni właściciele trefnych dokumentów?

– Tak, panie generale! Chociaż to bardzo mało prawdopodobne. Myślę, że byłby to pech! – wykrztusił Dawid Amichai.

– Zresztą to nie miałoby większego znaczenia – wtrącił ponownie Jehuda Darwisz. – Dubajskie służby identyfikują wjeżdżających na podstawie skanu tęczówki oka. Problem istnieje, gdyby ta sama osoba pojawiła się pod dwoma różnymi nazwiskami. W naszym przypadku to nie wchodzi w grę!

Edgar Oz mruknął coś pod nosem. Zgadzał się z przedstawioną argumentacją, jak również z tym, że szczęście lub pech mają istotne znaczenie w operacjach wywiadowczych. Nie wszystko można jednak przewidzieć, szczególnie wtedy, kiedy są znaczne szanse na to, że coś może się spieszyć. Popatrzył na siedzącego naprzeciwko szefa „Cesarei” i zapytał:

– Skąd przylecą nasi ludzie i jak będzie wyglądać łączność?

– Działamy na paszportach brytyjskich, kanadyjskich, niemieckich i irlandzkich. Portami wylotu są Londyn, Frankfurt oraz Zurych. Wszyscy będą wykonywać połączenia przez łącznicę telefoniczną ulokowaną we Włoszech. Rozdysponuje ona rozmowy z innymi członkami zespołów w Dubaju lub też bezpośrednio do naszej

centrali. Stosowaliśmy już takie rozwiązania i się sprawdziły.

– Dobrze. Jak to w praktyce wygląda na miejscu?

– Mamy cztery grupy: zasadniczą, czyli wykonującą zadanie, obserwacyjną, techniczną oraz zabezpieczającą.

– Zabezpieczającą? – wzdrygnął się Edgar Oz.

– Tak! Gdyby trzeba byłoby dać komuś po pysku... – odpowiedział bez owijania w bawełnę Dawid Amichai.

Generał już nie dopytywał. Sam to robił w jednostce Kidon. Wtedy jednak nazywano tego typu zadania inaczej. Widocznie czasy się zmieniły, a służby stały się bardziej finezyjne – pomyślał refleksyjnie. Po chwili powrócił myślami do sali, wsłuchując się w dalszą część omawiania operacji:

– Członkowie zespołu meldują się w pobliskich hotelach, lecz w różnym czasie. Płacą za pobyt gotówką lub kartami debetowymi Payrun.

– Payrun? ! Co to takiego?

– Firma założona przez jednego z byłych dowódców naszej armii, wykorzystywana przez nas do działań operacyjnych. Przelaliśmy dwa miliony dolarów na zabezpieczenie operacji.

– Aha... Rozwiązanie dobre, ale na krótką metę. Pod warunkiem że wszystko pójdzie zgodnie z planem i ptaszki szybko wyfruną z Dubaju. Inaczej łatwo będzie można ich namierzyć. – Edgar Oz się skrzywił.

– Panie generale, w ciągu trzech dni ich aktywność na miejscu nie powinna wzbudzić podejrzeń. Na mieście zaplanowaliśmy tak działania, aby w naturalny sposób można było instynktownie wykorzystać maslul.

– Tak! Maslul może być tutaj ważny, szczególnie przy tak znacznym nasyceniu stałych punktów monitoringu w Dubaju. Jednak trzeba uważać, aby nie przesadzić! – ostrzegł, rozglądając się. Edgar Oz miał negatywne doświadczenia, kiedy oficerowie izraelskiego wywiadu zbyt często zmieniali swoją charakterystykę, nie dostosowując się właściwie do otoczenia. Powtórzył jedno ze swoich ulubionych powiedzeń:

– Pamiętajcie, kiedy jesteście w Rzymie, żyjcie jak rzymianie!

Nikt nie skomentował. Obecni znali doświadczenie generała i jego pozycję w izraelskim establishmencie. Rozumieli, że omawiana operacja jest dla niego ważna, a „stara szkoła”, z której się wywodził, nie znała odcieni szarości...

[Koniec wersji demonstracyjnej.](#)